

# བརྩ་གཅིག་

## jedenaście

Miałem dosyć siedzenia w pokoju hotelowym w Xining. Ruszyłem na południe, drogą biegnącą wśród pól pszenicy, aż dojechałem do granic Golog, Tybetańskiej Prefektury Autonomicznej, usianej niezliczonymi wojskowymi punktami kontrolnymi. Pejzaż wokół był typowy dla Amdo – wysoko położone, bezludne przestrzenie i góry, niebo rozpięte nad głową długim, wysokim łukiem, rozciągnięte w nieskończoność, aż po horyzont. Niegdyś władzę nad tymi terenami sprawowali wodzowie lokalnych plemion koczowniców, z rzadka mający okazję kontaktu z przedstawicielami rządu w Lhasie. Na początku XVIII wieku wojska chińskiej dynastii Qing próbowały – zresztą bez powodzenia – ukrocić najazdy koczowniców na chińskie terytoria. Dopiero w latach 20. i 30. XX wieku, po serii potyczek z wodzem Ma Qi z grupy etnicznej Hui i jego krewniakiem Ma Bufangiem, Chińczycy zaczęli mieć pewien wpływ na Golog.

Stolica prowincji, Maczen, była prymitywnym, a przy tym kompletnie sztucznym tworem – komuniści zbudowali ją w końcu lat 50. jako ośrodek kontroli. Miasto kompletnie nie pasowało do miejsca, w którym je postawiono, wbite pomiędzy niekończące się, trawiaste równiny a odwieczne góry. Było także – podobnie jak Zorge – kompletnie pozbawione życia. Jedyłą racją jego istnienia było „rządzenie” koczownikami żyjącymi na otaczających je równinach.

Była tu długa, zakurzona główna ulica, przy której w chińskich sklepach można było kupić makaron i mięso. Pijani Tybetańczycy, w tanich ubraniach z syntetyków, zataczali się obok budynków administracji, znudzeni chińscy robotnicy zabawiali się w karaoke w budzie, zwanej „Galerią sztuki dla mas”. Byłem tu jedynym obcym, starałem się więc iść szybko i nie rzucać się w oczy. Wysz-

dłem z miasta, mijając duże więzienie i spędziłem noc w cuchnącym, wiejskim hoteliku. Następnego dnia ruszyłem dalej na wschód, w kierunku prefektury Ngaba.

Równiny wyglądały jak wielka fala, piętrząca się w aksamitnie zielone wzgórza i przechodząca płynnie w dzikie, bezkresne niebo. Byłem w miejscu, gdzie nie dało się już uprawiać roli, gdzie padały śniegi i wiały wichry. Mieszkańcy takiej krainy muszą być twardzi i odporni, muszą opanować sztukę przetrwania w każdych warunkach. Taka właśnie była Konco, która przekroczyła już osiemdziesiątkę, a wciąż była sprawna i dynamiczna. Jej twarz miała kolor i połysk pieczonej kaczki wiszącej w oknie restauracji w Chengdu.

– *Campa sou!* – powiedziała stanowczo, kiedy siedziałem przy ogniu w namiocie stanowiącym jej dom. – Jedz *campę!* Jeśli jesteś w Tybecie, to musisz jeść *campę*.

Cienkie, czarne warkoczyki zwieszały się z boku jej głowy, jak nakazywał lokalny zwyczaj. Miała duży, pokryty skórą młynek modlitewny, którym obracała przez cały czas rozmowy. Chciała się dowiedzieć ode mnie wielu rzeczy: ile mam dzieci, co dzieje się na świecie, dokąd zmierzam, co porabia Dalajlama, czy jest zdrowy. Za każdym razem, kiedy wymieniałem jego imię, uderzała młynkiem o czoło, a kiedy dowiedziała się, że miałem okazję rozmawiać z Kundun, z Obecnością, zaczęła w podnieceniu uderzać młynkiem, a część jej szacunku i czci dla Dalajlamy została przeniesiona i na mnie. Czuję się zakłopotany.

Nie chciała mówić o sobie, ale stopniowo udało mi się dowiedzieć czegoś o jej życiu. Urodziła się w tutejszej społeczności koczowników, tutaj wyszła za mąż, jej życie płynęło w niezmiennym rytmie przemian przyrody i pór roku. Podróżowała ze swoim plemieniem, zimowała, składała ofiary, aby przebłągać bóstwa, świętowała – aż do czasu, kiedy zjawiała się tu Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. Na pobliskim wzgórzu odbyła się wielka bitwa – mężczyźni walczyli, kobiety pozostały w namiotach i modliły się. Zginęło dwóch z pięciu braci Konco. Jej mąż i pozostali bracia zostali aresztowani jako buntownicy – zmarli w więzieniu z głodu i wycieńczenia na początku lat 60.

Wszystko to Konco opowiedziała mi spokojnie i rzeczowo. Potem zaprowadziła mnie na zewnątrz, poza niewielki krąg namiotów, na wzniesienie i pokazała mi miejsce tamtej bitwy. Byłem zaskoczony